

Kucyk Orła nie pokona!

Rozdział II

Imperia kontratakują

Raport służbowy nr 9284

Oddział II Sztabu Generalnego

Warszawa, 25 IX 1939

Zgodnie z zarządzeniem płk dypl. Józefa Smoleńskiego, Oddział II Sztabu Generalnego powołał grupę, mającą poznać przebieg wydarzeń z dn. 20-23 IX br., jakie miały miejsce w kraju, a które doprowadziły do zaistnienia obecnej sytuacji międzynarodowej. Wstępną wersję raportu przedstawiam poniżej.

Po odniesionym dzięki współpracy z przybyłymi z przyszłości członkami organizacji Front Obrony Ludzkości i parą kucyków zwycięstwie nad Niemcami, 20 IX prezydent Mościcki zorganizował w Pałacu Saskim przyjęcie dla zasłużonych członków Sztabu Generalnego i przedstawicieli FOL. Kilka minut po rozpoczęciu przyjęcia, tj. po godz. 18:00, Prezydent RP otrzymał pilny telefon z wezwaniem do Pałacu Namiestnikowskiego. Kiedy opuścił bal, w Pałacu Saskim zjawił się generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, który zaczął zachęcać zebranych do spożywania alkoholu, sam zaś wraz z kłaczą Spitfire zaczął przygotowywać mieszankę trunków do tzw. gry w litery. Mieszanka ta okazała się tak mocna, że już po jednym toaście doprowadziła do serii niezwyklej wydarzeń.

O godzinie 21:37 wracające z frontu oddziały wojska oraz stacjonujące na granicy wschodniej jednostki KOP otrzymały rozkaz rozpoczęcia działań zbrojnych przeciwko ZSRS. Ponadto do Moskwy przesłane zostało ultimatum o następującej treści: „Oddafajcie gruszińskie wina, czerwone szóje” (pisownia oryginalna). Jednocześnie tajna broń armii polskiej, mech bojowy Husarz-1, został wysłany do Gruzińskiej SRR z rozkazem zniszczenia wszelkich jednostek Armii Czerwonej, siedzib partyjnych WKP(b) i ośrodków NKWD.

O godzinie 22:17 grupa niepczytalnych oficerów opuściła Pałac Saski i ruszyła ulicami Warszawy, prowadzona przez generała Wieniawę

jadącego na Spitfire (wykreślić ten fragment z wersji raportu dla Sztabu Generalnego). O 22:46 grupa dotarła do restauracji Adria, gdzie przebywała do 0:11. Następnie oficerowie porwali tramwaj i udali się na Okęcie. Tam generał Sosnkowski uprowadził zdobyty w Niemczech samolot pasażerski i odleciał do Rzymu. Następnie reszta biesiadników wróciła do Pałacu Saskiego, gubiąc po drodze klacz Lyrę i generała Rómmla. Wstępne straty wynikłe z tej wyprawy wynoszą: 1 tramwaj, 4 witryny sklepowe, 17 rozbitych dorożek, 8 rozbitych samochodów, 1 zaginiony samolot, 714 butelki alkoholu, 51 damskich sukien, 1 siodło, dwie rękawiczki (lewe) i słoik ogórków kiszonych. Przedstawiciel FOL Jeziorański został sponyfikowany w niejasnych okolicznościach; nie stwierdzono braków w eliksirach. Generał Wieniawa-Długoszowski został awansowany na marszałka.

Generał Sosnkowski, jak się okazało, chciał zwiedzić Albanie, jednak z powodu zmęczenia pomylił Tiranę z Rzymem. W efekcie jego działań miasto zostało spalone, Benito Mussolini został sponyfikowany (ponownie, nie stwierdzono ubytku w eliksirach), a rząd Królestwa Włoch podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji w ambasadzie RP. Sam Sosnkowski obwołał się cesarzem Imperium Rzymskiego.

24 IX w godzinach przedpołudniowych przebywający w Warszawie członkowie Sztabu Generalnego obudzili się, nieświadomi szkód, jakie wyrządzili. Podczas gdy marszałek Rydz-Śmigły wraz z pozostałymi dowódcami starali się opanować sytuację, Jeziorański, Filipowski, Spitfire i marszałek Wieniawa ruszyli na poszukiwania zaginionych towarzyszy. Dość szybko odnalazł się generał Rómmel, który w laboratorium prof. Szawińskiego grał w gry elektroniczne (komputerowe – dop. mjr Rogalski). Marszałek Wieniawa i Spitfire odwiedzili tymczasem Adrię, gdzie znany w społeczności literackiej Julian Tuwim zasugerował, by sprawdzili Okęcie. Tam dowiedzieli się, że generał Sosnkowski przebywa w Rzymie. Z pomocą darowanego im przez siły powietrzne, eksperymentalnego samolotu, pilotowanego przez szer. Franciszka Dolasa, błyskawicznie dolecieli do stolicy Włoch, gdzie udało im się nawiązać kontakt z zaginionym; tam też znalazła się klacz Lyra. Wprawdzie prototyp uległ zniszczeniu, jednak szer. Dolas wygrał w trzy karty włoski krążownik, którym w dniu sporządzenia raportu płynęli w stronę Gdyni.

Jak doniósł marszałek Śmigły, po otrzymaniu potwierdzenia, że Lyra jest w Rzymie, zadzwonił do niego jakiś mężczyzna, informując, że ma jeszcze jedną klacz. Tożsamość zarówno mężczyzny, jak i kucyka pozostają nieznane. Śledztwo w toku.

Podpisano

mjr Kremowski

Warszawa, 25 IX 1939, godzina 15.00

Marszałek Rydz-Śmigły miał za sobą kolejny udany dzień. Ciągłe dostawał meldunki o postępach jego nielicznych wprawdzie, ale niezłe uzbrojonych oddziałów. Świetnie radziła sobie między innymi dywizja spadochronowa, której utworzenia zażądali przed wojną oficerowie z przyszłości, a która wylądowała pod Moskwą. Wieniawa miał wkrótce przybyć wraz z Lyrą, Sosnkowskim, Spitfire i nowym nabytkiem Marynarki Wojennej, więc i ten problem był już przeszłością. Pozostawała już tylko kwestia tajemniczego jegomościa, który zapowiedział, że stawi się wraz z zaginionym kucykiem...

Sprawa ta bardzo niepokoiła marszałka. Do tej pory wszystko się w miarę zgadzało. Miał już dwie equestriańskie klacze plus Adolfinę, a wywiad śledził każdy krok Pinkie Pie, więc skąd nagle kolejna? I kto ją znalazł? Wprawdzie Jeziorański i Mussolini byli teraz ogierami, ale ciąża u kucyków nie trwa tak krótko? W celu rozwiązania tej zagadki Rydz-Śmigły postanowił powołać zespół ekspertów z dziedziny kryminologii, zoologii i innych takich.

Niestety, do dyspozycji miał tylko oficerów swojego sztabu.

– Więc tak – zaczął Kutrzeba, podchodząc do tablicy, na której wcześniej wypisano kilka poszlak i możliwych tożsamości kucyka i jego opiekuna. Większość z nich została przekreślona, gdy trop okazał się fałszywy. – Jesteśmy pewni, że nie dzwonił do nas Mościcki, Beck ani nikt z wywiadu – wymieniał, stukając szablą o wymazane kredą napisy. – Jak przytomnie zauważył Römmel, nie jest to też toczeń. Jeśli chodzi o osobę kucyka, to wiemy na pewno, że nic nie wiemy. Wywiad twierdzi, że Pinkie Pie nadal jest w Moskwie i się do nas nie wybiera, a lokalizację Liry i Spitfire znamy. Jakies jeszcze pomysły?

– Dzwonił ktoś z Frontu Obrony Ludzkości – zasugerował Dąb-Biernacki.

– Tak, ściśle kontrolowana przez nas organizacja robi coś, o czym nie wiemy – skontrolował Kutrzeba. – Minus dziesięć punktów.

– Może po prostu zaczekamy? – zaproponował Filipowski. – W końcu i tak się tego dowiemy.

Kutrzeba spojrzał na niego, zły jak wioska Łotyszy na widok kradnącego ziemniaki Rosjanina.

– Nie. Wtedy nie będzie zabawy. Poza tym założyłem się z marszałkiem, że zgadniecie, kto nas ma nawiedzić, więc brać się do roboty i myśleć, myśleć, MYŚLEĆ! – powiedział, ostatnie słowa akcentując stukaniem płazem szabli o stół. – Kto do nas przyjdzie?

– Nikt?

– Wieniawa nas robi w konia?

– A może to inwazja? – zasugerował Szylling. Jego zaciekawieni towarzysze skierowali

na niego wzrok. – Może ta cała Celestia źle spojrzała w kalendarz? Albo u nich w Equestrii czas płynie inaczej i ona jest już gotowa do ataku? Albo jest kobietą, nastał ten czas w miesiącu i zdecydowała, że nie będzie czekać?

Kutrzeba przez chwilę rozważał w myślach wszystkie za i przeciw. W końcu odwrócił się, podszedł do tablicy i dużymi literami nabazgrał słowo „Inwazja”.

– To nie może być inwazja – zauważył Jeziorański. – Jakby tak było, z całego świata zaczęłyby napływać informacje o pojawieniu się kucyków, a tu mamy wiadomości tylko o jednej klaczy... no, o dwóch. Poza tym profesor Szawiński udowodnił już, że cofnięcie czasu w naszym świecie wywołało podobny efekt w ściśle połączonej z nami Equestrii.

– Czyli możemy ją tymczasowo skreślić – skomentował Kutrzeba. Zaczął krążyć dookoła stołu. – Jak dowiemy się, że gdzieś znaleziono więcej Equestrian, to zaczniemy się martwić.

Krażownik ~~RMS Giuseppe Garibaldi~~ ORP PULKOWNIK Wieniawa, Gibraltar,

26 IX 1939, godzina 10:35

Roześmiana, sympatyczna, pokojowa i uśmiechnięta twarz marszałka Wieniawy była pierwszą rzeczą, jaką Franciszek Dolas zobaczył po nagłym przerwaniu jego drzemki. Niestety, nie miał gdzie uciekać i pozostało mu tylko oczekiwać na swój los.

– No, Dolas, nie wiem jak u was, ale u nas, u ułanów, zawsze była tradycja, by przy przekraczaniu równika imprezować, aż koniom nogi odpadną, tylko nie mów tego Spitfire. Oczywiście, dowódca musiał pilnować, by nikt nie pił więcej od niego, ale myślę, że wam to nie będzie przeszkadzało. – Trącił go żartobliwie w żebra.

– I mamy imprezować całą załogą? – zapytał przerażony żołnierz, starając się ogarnąć niedospanym umysłem wszystko, czego się dowiedział. Coś mu nie pasowało...

– Nie no, coś ty. Lyra jeszcze śpi po byciu używaną jako instrument muzyczny, Sosnkowski jeszcze trzeźwieje, a Włosi jacyś zbyt zestresowani i nie umieją pić jak faceci z jajami. Zostajemy ja, ty i Spitfire.

– Ale... ale to nie równik! Chyba że spieprzyłem liczenie kursu. – Przerażenie zagościło w jego oczach. Dolas podejrzewał, że marszałek może mieć do niego uraz za to pilotowanie samolotu albo za wygranie całego krążownika w karty, albo za przypadkowe rozpętanie ostatniej wojny (na wszystkie trzy rzeczy miał już szlaban od Wieniawy) i wołał sobie nie dodawać do listy przewinień przepłynięcia okrętem przez środek Sahary aż na równik.

– Przyznaję, to Gibra... Gib... ta nazwa, którą sadystyczne żony każą wymawiać pijanym mężom i której nie umiem powiedzieć na trzeźwo – przyznał z rozbrajającą szczerością Wieniawa. – No nie bądź baba, chodź.

– Ale... – Dolas chwycił się ostatniej deski ratunku. – Nie jestem ułanem, nie dla mnie takie zaszczyty! Po prostu posiedzę tu i się zdrze...

– A, więc o to chodzi! Spokojnie, młody człowieku. W takim razie przydzielam cię do Wieniawabolts. Zostałeś ułanem. Nie musisz dziękować.

– Dobra, mam nadzieję że każdy z nas zna zasady gry „Prawda lub wyzwanie”. Aby było jednak bardziej ekscytująco, ustalmy, że możliwe będzie odmówienie wykonania zadania lub powiedzenia prawdy, ale trzeba będzie wypić przy tym kieliszek wódki! – oznajmił z mocą Wieniawa, siedząc przy sporym stole na pokładzie. Krzątający się dookoła Włosi patrzyli na nich podejrzliwie, ale nie komentowali. – A kto wykona zadanie, pije dwa kieliszki – dodał dla jasności. – Zacznie... panienka Spitfire!

– To może... Dolas? – zastanowiła się chwilę. – To najpierw prawda. Gdybyś uciekał przed Niemcami jako jeniec wojenny, z pociągu, którym wieźliby cię do obozu jenieckiego, przypadkiem zrujnowałbyś obchody Oktoberfest i wpadł na byka, to co byś zrobił?

– Wolę zginąć jak żołnierz z ręki nieprzyjaciela niż na rogach głupiego bydlaka – oświadczył z godnością Dolas, po czym napił się. – To teraz odwiedzczę się zadaniem. Zobaczmy, jak znasz język polski... – Uśmiechnął się serdecznie do Spitfire, która aż struchlała. – Weź pióro i napisz „Grzegorz Brzęczyszczykiewicz”.

Tym samym Spitfire, po długiej próbie i krótkim załamaniu, jako pierwsza była zmuszona wypić tylko jeden kieliszek. Zabawa trwała w najlepsze i nic nie zwiastowało katastrofy.

– A teraz... a teraz... Wieniawa, zrób BIGOS! – rozkazał władczym tonem Dolas. Rozkaz, jak to rozkaz, musiał być spełniony, zwłaszcza że przy tej zabawie zrobili się głodni. Wieniawa na dłuższą chwilę zniknął w okrętowej kuchni, skąd wrócił po mniej więcej godzinie z wielgachnym garem bigosu, który postawił na środku stołu.

Czuąc ten zapach, krzątający się dookoła Włosi znieruchomieli, spojrzeli na nich, coś poszwargotali w swoim języku, po czym jak jeden mąż runęli w kierunku burty, przez którą zaczęli przeskakiwać. Gdy zdziwiony Dolas podszedł, by popatrzeć, zobaczył, jak praktycznie cała ich załoga płynie w kierunku oddalającej się powoli skały Gibraltaru.

– Hm, co ich tak przestraszyło? Bolesław, byłeś tam ambasadorem, co mówili? –

zdziwiła się Spitfire.

– Hm, hm, hmmm... coś o szalonych Polakach, że brali nas za Niemców świętujących Oktoberfest i że to chyba przed nami chcieli uciekać, bo spaliliśmy Rzym. – Wieniawa w namyśle podrapał się po policzku. – No dobrze, może nie mamy załogi, ale mamy bigos. Zawsze coś.

– Ekhm, psche... pscheprasham? – Całkiem niezłe mówiący po polsku, samotny Włoch podszedł do nich niepewnie. – Bo ja niezbyt bym kciał skakatsch, bo ja Mussoliniego nie lubitsch nigdy, i...

– Jak nie lubisz, to nie jedz – burknął Wieniawa, odsuwając gar z bigosem w swoją stronę. Włoch spojrzał na niego z przerażeniem w oczach i bez dalszej dyskusji pobiegł w stronę burty. – Ej, eeej, żartowałem! Musso został w Rzymie, to mięso jest z... – Przerwał mu cichy plusk. – No i teraz to już na pewno nikt z załogi nie został – westchnął ciężko, po czym, w ramach nagrody za wykonane zadanie, wypił dwa kieliszki.

– To z czego jest w końcu ten bigos? – Spitfire, jako wegetarianka, spojrzała z niesmakiem na garniec. Nagle do głowy przyszła jej straszna myśl. – O piórwa... Gdzie jest Lyra?! – wystraszyła się.

– Lyra byłaby za chuda na taki duży garniec... O piórwa, gdzie jest Sosnkowski!? – wystraszył się Dolas.

– Och, uspokójcie się – burknął Wieniawa. – Mięso było z Biedronki, co to FOL przywiózł z przyszłości. Strasznie duże muszą je mieć... i nie psujcie zabawy, teraz moja kolej! Spitfire, zadanie, skoro jesteśmy obok Gibraltaru, to niedaleko mamy Francję, polec po szampa...

– Bolesław, nie czas na to! Nie mamy załogi, nie poprowadzimy sami okrętu! Nie uda nam się! – przerwała mu żółta klacz i od razu pożałowała swoich słów. Ledwo przebrzmiały, w oku Wieniawy pojawił się niebezpieczny błysk.

– Nie uda się nam? MI SIĘ NIE UDA?! Dolas, koniec zabawy, trzeba rozruszać tę łajbę!

Front Północny, 26 IX 1939, godzina 12.00

Kolumna czołgów 10 Brygady Kawalerii od jakiegoś czasu przemieszczała się w głąb terytorium nieprzyjaciela. Jednostka ta, ledwo wczoraj przerzucona z Niemiec, od razu po uzupełnieniu paliwa i amunicji ruszyła do ataku i jeszcze tego samego dnia straciła kontakt z sąsiednimi oddziałami polskimi. *Mówi się trudno*, powiedział swego czasu pułkownik Maczek.

Sznur pojazdów przecinał właśnie wiejskie tereny nieprzyjacielskiego kraju. Wprawdzie tumany kurzu wzniecane przez ciężki sprzęt nieco utrudniały obserwację, jednak jadący w czołgu dowodzenia pułkownik Maczek mógł dostrzec dość szczegółów, by wyrobić sobie opinię o lokalnej gospodarce.

Mijali zadbane, schludne domy wiejskie, zaś na łąkach pasły się dobrze odżywione krowy. Nieliczni mieszkańcy, których wyłapał jego wzrok, zdawali się być w równie dobrym stanie.

– Za dwieście metrów skręć w prawo – z wnętrza czołgu dał się słyszeć głos Giepesa. Jako że nigdzie nie widać było żadnych znaków drogowych – wredni Sowietzi musieli utrudnić im pracę, psia mać! – polscy czołgiści zmuszeni byli korzystać z innych metod nawigacji.

– Za sto metrów skręć w lewo.

– Jesteś pewien? – spytał kierowca.

– Tak wynika z mapy! – oburzył się kapral Giepes, pochylając się nad sztabówką. – Więc nie kłóć się i skręcaj w lewo!

Przez kolejną godzinę oddział poruszał się zgodnie ze wskazaniem kaprała Giepesa, ku zadowoleniu dowódcy nie napotykając żadnego przeciwnika. Prawdę mówiąc, pułkownika zaczynała już nudzić ta sytuacja. Walcząc z Niemcami, mógł chociaż przetestować nowy sprzęt... Maczek wsłuchał się w monotony dźwięk silnika, przez który przebijał się tylko głos nawigatora.

– Za dwieście metrów skręć w prawo...

Nieoczekiwanie czołg prowadzący zahamował gwałtownie. Jadąca za nim maszyna jechała za szybko, by się zatrzymać, więc jej kierowca po prostu zjechał do rowu. Do uszu Maczka doszło głośnie i wyjątkowo siarczyste „Kurwa mać!”, dobiegające z tyłu kolumny. Najwyraźniej ktoś nie miał tyle szczęścia i nie wyhamował na czas. Jeśli mieli szczęście, to skończyło się na drobnym zarysowaniu...

Niezadowolony pułkownik nie czekał długo, gdy we włazie obok pojawiła się zaskoczona twarz kaprała Giepesa.

– Czemu stanąłeś? – spytał nawigator. – Miałeś skręcać w prawo!

– A żeby cię...! – Przez inny otwór na zewnątrz wyszedł kierowca. – Mapowy od siedmiu boleści! Widzisz gdzieś tu drogę w prawo?

– No... – Zarówno kapral, jak i pułkownik rozejrzeli się po okolicy. Kierowca miał rację; na prawo od drogi rozciągał się jakiś staw. Wyjechanie z niego czołgiem byłoby dość... problematyczne.

– Mamy złe mapy – stwierdził z całym przekonaniem Giepes, wyciągając z wnętrza pojazdu dowód rzeczowy. – Proszę popatrzeć, jesteśmy tutaj, o! I tu, gdzie jest ten stawik, powinna była być...

Maczek bez słowa wyrwał mu mapę z rąk i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni.

– O...

– Naprawdę nie zauważyłeś, że nazwy miejscowości są jakieś niezbyt zrozumiałe? – spytał pułkownik.

– Myślałem, że to cyrylica!

Przekłęci poznaniacy, pomyślał Maczek, po czym wziął mapę do rąk.

– Według planu operacyjnego, który przyszedł ze sztabu, mamy, tu cytat, *nawalać w Sowiech, póki nam nie oddadzą gruzińskich win!* Czyli, tłumacząc na polski, mamy atakować. Niestety, nie wiemy, gdzie jesteśmy...

– Na pewno wyjechaliśmy z Polski – przypomniał sobie kierowca. – Po drodze mijaliśmy słupki graniczne.

– A gdyby tak spytać o drogę tubylców? – zastanowił się Giepes.

– Myślisz, że w Sowietlandzie chłopci znają się na geografii? – spytał Maczek. – Lepiej podjedźmy nieco, w najbliższym mieście na pewno znajdziemy kogoś, kto będzie takie rzeczy wiedział.

Nie zwlekając dłużej, cała kolumna ruszyła w dalszą drogę. Daleko nie ujechali, gdy ich oczom ukazało się całkiem spore miasto. Szybka lustracja zabudowań, dokonana za pomocą lornetki, wykazała, iż uliczki były zadbane i, rzecz ciekawa, niebronione. *Najwyraźniej ci tchórze z workami na ziemniaki zamiast mundurów już uciekli*, pomyślał Maczek. Pułkownik przywołał gestem jednego ze swoich podwładnych, podpułkownika Dworaka.

– Podpułkowniku, ma pan siłami szwadronu dokonać rozpoznania pozycji Sowietów. W razie napotkania oporu meldować przez radiostację.

Dworak zaszalutował, po czym odwrócił się i pobiegł wydać odpowiednie rozkazy. Nie minęło pół godziny, gdy pododdział 24 Pułku Ułanów tyralierą ruszył w stronę zabudowań. Żołnierze w milczeniu przebiegali od osłony do osłony, mentalnie przygotowując się, by paść plackiem, gdyby jacyś przeciwnicy wyłonili się z kryjówek i ich ostrzelali – wówczas musieliby przerwać natarcie i czekać na przybycie wsparcia w postaci starych, dobrych TKS.

Jednak strzały nie padały, ku wielkiej uldze atakujących ułanów i niezadowoleniu załóg tankietek, którzy musieli teraz zabijać czas, polerując medale, które dostali za akcję pod Wrocławiem.

Piechota tymczasem dotarła do zabudowań i przywarła do ścian kamieniczek. Powoli, z uwagą wpatrując się w okna i bramy mijanych domów, przemieszczali się w stronę centrum miasta.

Minęło pół godziny, kiedy do Maczka przybiegł goniec od podpułkownika Dworaka.

– Panie pułkowniku, melduję, że miasto zostało opanowane, ale napotkaliśmy problem! Podpułkownik Dworak na miejscu zapozna pana z sytuacją!

Chcąc nie chcąc, Maczek kazał pozostałym pododdziałom brygady wejść do miasta.

Dworak czekał na niego na niewielkim placu przed czymś, co wyglądało na ratusz. Rozmawiał właśnie z grupką ubranych we fraki ludzi, pod pachą trzymając kupioną w kiosku mapę. Widząc swego dowódcę, zasalutował.

– Panie pułkowniku, melduję, że miasto zostało wzięte. Nie napotkaliśmy oporu. Według mapy...

Wtedy do rozmowy wtrącił się jeden z gentelmanów.

– Przepraszam bardzo – powiedział z dość kiepskim akcentem. – Pan tu dowodzi? Świetnie – dodał, gdy pułkownik pokiwał głową. – W takim razie jako zastępca prezydenta Kaunaus pragnę poddać siebie i swoje miasto. Poddałby się cały kraj, ale rząd uciekł na północ. Mój sekretarz przedstawi panu zaraz akt kapitulacji...

– Zaraz – przerwał mu Maczek. – Jesteśmy w...

– Na Litwie, panie pułkowniku – potwierdził Dworak. – W Kownie. Ja rozumiem, Wodzu prowadź na Kowno i tak dalej, ale że należy to rozumieć aż tak dosłownie?

– Gdyby ktoś nie zaczął usuwać znaków drogowych, do pomyłki by nie doszło – odpowiedział pułkownik, patrząc spode łba na Litwina.

– Ale to nie my! – krzyknął przedstawiciel gospodarzy. – Przysięgam! Kilka dni temu prezydent miasta zachorował, więc zamknęli go w szpitalu...

– Dla obłąkanych – dodał stojący za nim lokalny opozycjonista.

– Dla czasowo niezdolnych do pełnienia funkcji publicznych – poprawił go zastępca prezydenta. – Nie wiadomo, jak to się stało. Po prostu wybiegł z urzędu, krzycząc o małych diabolicach. Musieliśmy go zamknąć, by nie demoralizował młodzieży... Gdy próbowaliśmy wejść potem do urzędu, wszystkie drzwi były zamknięte. Najdziwniejsze było to, że mimo iż cały personel znajdował się na zewnątrz, to ktoś w środku wciąż pracował, bo z góry ktoś zrzucił nowe rozporządzenia. „Rozwiązać garnizon, żołnierze straszą nieletnich”, „Usuńcie wszystkie znaki drogowe aż do granicy, zaraz narysujemy nowe, ładniejsze” i te sprawy.

– I wy je tak po prostu wykonywaliście? – zdziwił się Dworak.

– Cóż, mieliśmy pewne wątpliwości, ale pierwszym zarządzeniem tajemniczego osobnika było zwiększenie pensji urzędników miejskich.

– A opozycja? Nic?

– Nowy zarządca zgodził się na wprowadzenie kilku zmian, których nie chciał widzieć poprzedni prezydent Kaunus – odparł jeden z litewskich polityków.

Maczek pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Ciekawe, kto jest w środku? – zastanowił się głośno jego towarzysz.

– Możemy to sprawdzić – stwierdził polski dowódca. – O ile panowie nie wyrażają sprzeciwu. – Lekko skłonił się Litwinom.

– Oczywiście, chcemy ucałować naszego dobrodzieja! – zgodził się przewodniczący delegacji. Nie żeby jego odmowa miała wpływ na rozwój sytuacji: na plac przed ratuszem wjeżdżała już tankietka.

Tankietka, trzeba przyznać, nietypowa i wywołująca niepokój w sercach przesiadujących na ławeczkach litewskich staruszków, którzy jeszcze pamiętali czasy pierwszej światowej. Było to zasługą pewnej modyfikacji, wprowadzonej, gdy wtajemniczony w sprawy przybyszów z przyszłości generał Rómmel przeglądał dane, które przywieźli ze sobą FOLowcy. Jedna ze znalezionych tam rzeczy tak mu się spodobała, że nakazał wprowadzenie jej na uzbrojenie polskiej armii, przy okazji ratując całą serię maszyn TKS, które miały zostać oddane na żyłki. Wystarczyło kilka miesięcy wytężonej pracy i tekaesy mogły straszyć przeciwnika swoimi sześciolufowymi działkami systemu Gatlinga.

Tankietka zatrzymała się dokładnie przed głównym wejściem do urzędu.

– Może po prostu zapukamy? – spytał kapral Giepes, klęcząc obok schowanego za jakimś autem pułkownika Maczka.

– Myślisz, że otworzą?

– Spróbować nie zaszkodzi.

– Preferuję prostsze rozwiązania. – Maczek uniósł dłoń i machnął ręką.

Ledwo zdążył zasłonić sobie uszy, gdy panującą na placu względną ciszę rozdarł dźwięk obracającego się działka, po którym nastąpił ogłuszający, mechaniczny ryk. Wyrzygiwane z lufy pociski – szybkostrzelność rzędu kilku tysięcy sztuk amunicji na minutę trudno nazwać wypluwaniem – obracały w drzazgi grube, dębowe drzwi. I stojącą za nimi szafę. Tylina ściana co prawda stawiała mężny opór, jednak z każdą sekundą jej powierzchnię zdobiło coraz więcej

głębokich dziur.

Wreszcie załoga tankietki uznała, że buntownicze drzwi zostały spacyfikowane i przerwała ostrzał. Maczek bez słowa skierował się w stronę wejścia. Zerknął za siebie i zobaczył, że oprócz kilku polskich żołnierzy, wraz z nimi poszedł i burmistrz. Gdy tylko przestąpili przez próg, pułkownik sięgnął po pistolet.

Dopiero teraz mógł w pełni ocenić ogrom strat poczynionych przez otwierających drzwi tankietką żołnierzy. Cała podłoga zasłana była odłamkami drewna i szkła. Nieliczne meble, które miały pecha stać naprzeciwko wejścia i nie rozleciały się w trakcie ostrzału, milcząco błagały o dobitcie.

Drużyna powoli weszła na klatkę schodową, asekurując się wzajemnie. Na drugim piętrze było niezwykle ciemno; słaba żarówka, jaka oświetlała korytarz, migotała co chwilę. Panującą w budynku ciszę przerywał tylko odgłos kroków polskich żołnierzy... i tajemniczy stukot, jaki dobiegał z jednego z pokoiów.

Stuk! Stuk!

Maczek przełknął ślinę i odbezpieczył visa. Ostrożnie zbliżał się do na wpół przymkniętych drzwi. Zdawało mu się, że słyszy cichy, dziecięcy chichot...

Stuk! Stuk!

Wreszcie pułkownik stanął przed drzwiami do gabinetu prezydenta miasta. Chcac nie chcąc, polski oficer wziął głęboki oddech i ostrożnie uchylił wrota...

W jasnym, pełnym porozrzucanych wszędzie papierów i pudełek z logo pewnej kowieńskiej cukierni pokoju znajdowało się biurko, a za nim krzesło. A na krześle...

– Dobra. – Siedząca na nim pomarańczowa klacz pegaza w wieku zdecydowanie żrebięcym spoglądała w leżący przed nią dokument, bawiąc się przy tym jedną z pieczętek. – Teraz mamy skargę na uprawiające nierząd kobiety... – Żrebak podniósł głowę. – Dziewczyny, co to znaczy uprawiać nierząd? To coś związanego z rolnictwem, tak?

— Słyszałam, jak siostra o tym mówiła! – pochwaliła się druga klaczka, tym razem biała i z rogami na głowie. Siedziała na podłodze i obsługiwała maszynę do pisania. – To chyba było coś złego, bo mówiła o tym bardzo nieprzyjemnym tonem...

– Mówiła o tym z tobą? – spytała pomarańczowa.

– No nie do końca, ja tylko podsłuchiwałam...

– Ja chyba wiem! – powiedziała trzecia nieletnia, tym razem pozbawiona zarówno skrzydeł, jak i rogu. Na głowie miała czerwoną opaskę. Zajęta była pałaszowaniem ciasta ze świeżo otworzonego pudła. – Chcac obalić rząd!

– Czemu miałyby go obalać? – zastanowiła się ta ze skrzydłami.

– Może ten rząd jest zły? Prześladowuje niewinne kucyki, jak Sombra! – zasugerowała ta od maszyny do pisania. – To by oznaczało, że księżniczki też uprawiały nierząd, w końcu obaliły złego króla!

– W takim razie musimy pomóc tutejszym rewolucjonistkom! – krzyknęła trzecia, którą Maczek nazwał w myślach Kokardką. – Sweetie Belle, pisz: „Urząd miasta Kaunus przydziela uprawiającym nierząd kobietom dodatkowe środki...”

– Zaraz... – Sweetie Belle przerwała stukanie w klawisze i spojrzała na przyjaciółki. – Przecież to my jesteśmy rządem!

W pokoju zapanowała pełna konsternacji cisza.

– W takim razie musimy przeszkodzić tym buntowniczkom! – krzyknęła skrzydlata. – Notuj: „Do straży miejskiej miasta Kaunus! Nakazuje się wtrącić uprawiające nierząd kobiety do lochu”.

– Napisałam! – krzyknęła po chwili rozradowana sekretarka. – Apple Bloom, przybij pieczętę!

– Się wie! – odparła klaczka z kokardką, po czym chwyciła w pysk stosowny przedmiot, umazała w tuszu i stuknęła w dokument. – Scootaloo, wysyłaj!

– Robi się! – powiedziała skrzydlata, wzięła nowe rozporządzenie, zwinęła w rulonik i wyrzuciła za okno, gdzie miał je odebrać jeden z urzędników.

Zadowolone z dobrze spełnionego obowiązku klaczki podbiegły do siebie i przybiły kopytko, krzycząc:

– **CUTIE MARK CRUSADERS LITEWSCY POLITYCY! YAY!**

Następnie z nadzieją spojrzały na swoje puste boki, jednak nie zobaczyły tam upragnionych Znaczków.

A szkoda.

Pułkownik Maczek odetchnął z ulgą i odwrócił się do litewskiego urzędnika, gestem przywołując przy tym podpułkownika Dworaka.

– Macie tu telefon albo chociaż telegraf? – spytał.

– Na poczcie – odparł Litwin.

– Świetnie. Podpułkowniku, proszę skoczyć na pocztę. Poinformuje pan kwaterę główną Naczelnego Wodza, że zdobyliśmy Kowno i że mamy trzy gadające kucyki.

Moskwa, 26 IX 1939, godzina 17.51

Nawet w normalnych okolicznościach przechadzka po Placu Czerwonym i okolicznych ulicach mogła się źle skończyć. Dzięki paranoi władcy Kremla, okolicę często nawiedzały patrole służb bezpieczeństwa i wystarczyło jedno krzywe spojrzenie na czerwone mury tego najważniejszego budynku w ZSRS, by zafundować sobie, swojej rodzinie i sąsiadom dożywotni zapas czarnego chleba nad Morzem Białym.

A dzisiaj... Cóż. Dzisiaj Plac Czerwony roił się od żołnierzy NKWD, ścigających pewną irytującą, różową klacz.

– [♪Nas nie dogoniat!](#) – śpiewała Pinkie, odskakując przed próbującym ją schwytać Rosjaninem. Mężczyzna przewrócił się i wyrznął o chodnik. Klacz tknęła go kopytem. – Berek! Gonisz! – krzyknęła i podskakując, uciekła w sobie tylko wiadomym kierunku.

– Zwariować można... – stwierdził enkawudzista, po czym wstał i otrzepał się. Zasalutował, gdy podszedł do niego dowódca. – Szeffie, musimy za nią tak latać? Znaczy... Nie można tak bardziej klasycznie? – Poklepał dłonią po kaburze.

– Jest rozkaz: w miarę możliwości brać żywcem.

Pinkie przekicała obok, niosąc przed sobą dużych rozmiarów watę cukrową. Zaraz za nią, jak w rasowej komedii, gnała grupa zdenerwowanych oficerów tajnej policji.

– Ale to chyba przesada? – zauważył młodszy stopniem. – Ośmiesza nas przed całą Moskwą. A przecież do Josifa Wissarionowicza ma przybyć jakiś ważny gość...

Oficer rozejrzał się po okolicy. W zasięgu wzroku nie zauważył nikogo oprócz różowego potwora, który przystanął na chwilę, by obejrzeć wiszący na słupie ogłoszeniowym afisz informujący o mającym wkrótce przybyć cyrku, oraz grupki jego podwładnych.

– Lokalnymi podglądaczami nie musimy się przejmować – mruknął. – Nie po to ciężko pracowaliśmy na naszą reputację, by teraz byle konik ją niszczył. A do przyjazdu tego gościa zdążymy jeśli nie schwytać, to przynajmniej zagonić tamtą klacz gdzieś, gdzie nie będzie się rzucała ludziom w oczy...

Młody enkawudzista odskoczył na bok. Oficer obejrzał się i zobaczył lecącą w jego stronę, różowo-watocukrową kulę. Niestety, nie udało mu się uniknąć zderzenia. Pinkie odbiła się od niego, wydając przy tym dźwięk podobny do tego, jaki wydawał automat do gier, który Stalin dostał na urodziny od towarzyszy z Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych.

Niestety, na mundurze Rosjanina zostało zabrudzenie, którego najlepszy radziecki proszek, Czystość Stalina („Plamy hurtowo zsyła do łagrów!”), nie spierze przez tydzień.

– W zasadzie – zaczął poszkodowany, sięgając po pistolet – nic się nie stanie, jak kobyłka dojdzie trochę uszkodzona.

Jego towarzysz ze zrozumieniem pokiwał głową, wyjmując broń z kabury. Biegiem rzucili się w pościg.

Pinkie tymczasem zmieniła trasę przemarszu. Uśmiechając się promiennie, wskoczyła w jedną z bocznych uliczek i jak gdyby nigdy nic, szła przed siebie, podziwiając architekturę.

– Mamy ją! – krzyknął rozradowany szeregowiec, widząc, jak ścigana skręca w prawo i znika w bocznej uliczce. – Tam za rogiem jest ślepy zaułek!

Grupa enkawudzistów pobiegła za nią. Prowadzący pościg szeregowiec skręcił w ulicę, gdzie spodziewał się zastać Pinkie, i stanął jak wryty. Jego towarzysze nie zdążyli zareagować i wpadli na niego.

Na murku, jaki ktoś postawił sobie, by oddzielić teren tamtejszej kawiarni od ulicy, siedział czarny kot. Wpatrywał się swoimi złośliwymi oczami w grupkę żołnierzy.

– Chrzanię to! – krzyknął szeregowiec, rzucając pistolet o ziemię. – Mieliśmy z zimną krwią mordować wrogów rewolucji, a ścigamy kucyka, zaś na naszej drodze staje kot!

– To co? – zdziwił się dowódca.

– To nie jest zwykły kot! – kontynuował jego wyraźnie spanikowany podwładny. – Raz zostaliśmy wezwani do pewnej kamienicy, by schwycić podejrzanego element. Znaleźliśmy tam dokładnie takiego kota – wskazał na kocura – który zaczął się ostrzeliwać, po czym goniliśmy go przez pół Moskwy! Wiecie towarzyszu, ile budynków poszło wtedy z dymem?

Oficer łypnął na niego groźnie okiem.

– Czyli przerywamy pościg, bo wam zebrało się na zabobony? Naprawdę mam uwierzyć, że byle kot mógł strzelać do was z jakiejs tetetki...

– To był browning.

Oficera zatkało. Przez moment wydawało mu się, że przed chwilą został poprawiony przez... Nie, to niemożliwe. Przecież koty nie mówią, nie wspominając już o strzelaniu z tetetki bądź z browninga. Każdy, kto twierdził inaczej, był wierzącym w zabobony reakcjonistą, którego należało zlikwidować! ... Czyli miał zlikwidować samego siebie? Jak niby ma popełnić samobójstwo w tradycyjny radziecki sposób, czyli strzelając sobie trzy razy w potylicę? Niby może poprosić o pomoc swoich podwładnych, ale wtedy będzie dawał zły przykład, w końcu zachęci ich do zabicia wzorowego politruka... Po kilku sekundach zdecydował się rozwiązać problem w inny sposób. Wymierzył z pistoletu i strzelił. Pocisk trafił kota prosto między oczy i

uciążliwy stwór zniknął za murkiem. Oficer z triumfalnym uśmiechem na ustach odwrócił się do swoich ludzi.

– Był kot, był problem. Nie ma kota... – przerwał, gdy zobaczył, jak szeregowi enkawudziści bledną, po czym chowają się za najbliższymi osłonami. Powoli zerknął za siebie.

Zza murka wyłaniała się postać czarnego kota. Nie było śladu po kuli. Zamiast tego kocur miał na głowie budionnówkę, zaś w łapach dzierżył...

– ... Mamy problem. Kryć się! – krzyknął oficer, w sumie tylko dla zasady, i skrył się za rogiem. W tej samej chwili kot otworzył ogień ze swojego maxima.

– Towarzyszu dowódco... – zaczął ten szeregowiec, który nie chciał kontynuować pościgu. – Chyba go zdenerwowaliśmy.

Oficer podrapał się po głowie.

– Skoczcie do sklepu, zarekwirujcie najlepszą rybę, jaką znajdziecie. Przekupimy tego czarnucha.

Żołnierz zasalutował i pobiegł wzdłuż ulicy. Po chwili wrócił z całkiem świeżym dorszem. Jego dowódca chwycił rybkę i rzucił za róg, licząc na to, że skłoni tym samym kocura do zawieszenia broni. Odczekał chwilę, a kiedy po minucie nie usłyszał żadnego wystrzału, wychylił się zza rogu.

Kilka pocisków przemknęło mu nad głową.

– Przecież daliśmy ci jeść! – krzyknął zdenerwowany enkawudzista.

– Ryba jest nieświeża! – odparł kot.

– E tam, zaraz nieświeża! Jest drugiej świeżości! Najlepsza, jaką dostaniesz w Moskwie!

Kot posłał kolejną serię. I ona poszła zbyt wysoko, jednak pył z wybitych w ścianie budynku dziur pobrudził mundur enkawudzisty.

– Po drugie, co rzucasz pan rybą? – kontynuował kocur. – Rybę podaje się na talerzu, z dwoma widelcami i butelką Chardonnay! Tylko tak podany dorsz może zaspokoić delikatne kocie podniebienie!

– A na deser kremówki! – dodała Pinkie, znikąd pojawiając się przy uzbrojonym dachowcu. – Cześć, jestem Pinkie Pie, dla przyjaciół Pinkie Pie, ale możesz mi mówić Pinkie Pie!

– Witam, Behemot jestem – odparł Behemot, po czym posłał kolejną serię w stronę Rosjan. – Ty nie miałaś czasem jakiegoś spotkania z przyjaciółkami?

– Ojej! – krzyknęła różowa klacz. – Prawie zapomniałam! Dzięki! Trzymaj watę!

Pinkie podała kotu swoją przekąskę. W zamian ten przekazał jej budionnówkę, po czym spokojnie obserwował, jak niezwykła klacz wskakuje do najbliższego kosza na śmieci.

– Dobra, na mnie też już czas... Ej, wy tam! – krzyknął Behemot, przerywając ostrzał. – Koniec tego dobrego! Jak jeszcze raz zobaczę, że gonicie po mieście niewinnego kucyka, to będę was straszył po nocach! – dodał i rzucił granat dymny. Całą okolicę spowiła gęsta mgła. Gdy opadła, po kocie, maximie i wacie cukrowej nie było już śladu i tylko pokryte pyłem mundury enkawudzistów świadczyły o tym, co się przed chwilą stało.

Warszawa, 26 IX 1939, godzina 18:13

Generał Kutrzeba miał tego dnia wolny wieczór. Nie musiał obawiać się, że pod jego nieobecność coś się sieprze: chłopcy z „dwójki” czuwali nad kucykami, a sytuacja na froncie była tak dobra, że nawet ten nieudacznik Żymierski by tego nie spierdolił. Generał mógł się więc w spokoju rozkoszować zbliżającą się kolacją w jednej z najlepszych warszawskich restauracji.

Wraz z żoną zostali usadowieni przy najlepszym stoliku w lokalu, skąd mieli doskonały widok na innych gości: elegancko ubrane damy, gentelmani w drogich garniturach i szacowni oficerowie. Gdzieś w rogu grała grupa muzyków, umilając wszystkim posiłek...

... i w tym samym momencie z jego kieszeni rozległ się lekko piskliwy głos jakiegoś mężczyzny.

– Ażeby cię pokręciło, konusie jeden, jak tego nie odbierzesz!

Muzyka momentalnie ucichła, podobnie jak i rozmowy. Wszyscy spojrzeli na Kutrzebę, który spokojnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej mały, metalowy przedmiot. Komórka, tak nazwał ją Filipowski, gdy dawał mu ją na początku września.

– Jak Boga kocham, jak dorwę tego, który zmienił mi dzwonek, to skończy jako dowódca garnizonu Sosnowca. Przepraszam na chwilę – powiedział do swojej żony, wstał i nie zwracając uwagi na zaskoczone, wodzące za nim wzrokiem tłumy ruszył do wyjścia, by tam odebrać telefon.

Wcisnął przycisk nawiązania połączenia. Nim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, usłyszał głos Rómmła.

– Generale Kutrzeba, mamy problem.

No pięknie, pomyślał. Nie można ich zostawić na kilka godzin samych, by czegoś nie

zepsuli.

– Co się stało? – spytał, pewien najgorszych przeczuć.

– Przyszedł meldunek ze sztabu 10 Brygady Pancerno-Motorowej. Pułkownik Maczek melduje, że wyzwolili Kowno.

– Wspania... Zaraz, jak to? – Kutrzeba wytrzeszczył ze zdumienia oczy. – Przecież Kowno...

– Wiemy, generale, i też próbujemy to ustalić. Jednak nie chodzi o przynależność państwową zdobytego miasta, lecz o to, co w nim znaleźli. Maczek twierdzi, że on i jego paczka znaleźli tam trzy kucyki: jednorożca, pegaza i zwykłego.

– Cholera, ich jest coraz więcej! Może Szylling miał rację z tą inwazją?

– To nie wszystko. Wywiad zgubił Pinkie Pie.

– Zgubił brykającą po Moskwie, różową, tańczącą klacz? No pięknie. Czekaście, zaraz będę w sztabie, coś poradzimy.

Kutrzeba przeprosił swoją żonę i pojechał do sztabu. Swoich kolegów znalazł w zadymionym, oświetlanym jedynie przez słabą żarówkę gabinecie na piętrze, gdzie naradzali się w pełnej wzajemnego poszanowania atmosferze.

– Ty sam jesteś bolszewicki agent! – krzyczał pułkownik Smoleński z „dwójki”, wymachując pięścią w stronę Szyllinga. – I ja twojej matki nie obrażam, skurwysynu. Nie nasza wina, że ta różowa gdzieś wyparowała! Może, nie wiem, wpadła w ręce chłopaków Berii?

– Słuszna uwaga – powiedział Kutrzeba, energicznym krokiem wchodząc do pomieszczenia. – Ale najpierw zajmijmy się sprawami bieżącymi. Gdzie marszałek Śmigły?

– Śpi.

– Dobrze, nie będziemy mu przeszkadzać. Co z tymi trzema kucami z Kowna?

– Maczek wsadził je do pociągu, już jadą do Warszawy – wyjaśnił Filipowski. – Również Wieniawa już płynie tu z Lyrą i Spitfire, w Gdyni czeka na nich pociąg pancerny. Jest jeszcze Jeziorański, ale jego nie liczę...

W tym momencie Jeziorański prychnął ze złością.

– Zatem mamy wszystkie kuce poza jednym...

– Dwoma – przypomniał Szylling.

– No tak, jeszcze ten tajemniczy ktoś – przyznał Kutrzeba. – A więc kucyki pojawiają się już w Warszawie. Nie ma się co oszukiwać – to inwazja. Jak nasz plan obrony kraju na wypadek

nagłego ataku z ich strony, Plan E?

– Nie mamy takiego planu, jeszcze nie jest gotowy.

– No to będziemy improwizować.

– A ja nadal uważam, że to nie inwazja, tylko toczeń – oznajmił Rómmel, jednak nikt go nie słuchał.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Całe towarzystwo umilkło. Najbliżej stojący generał Dąb-Biernacki podniósł słuchawkę.

– Wartownik strzegący drzwi frontowych... – poinformował. Po chwili spytał: – Na kiedy był w końcu umówiony ten od kucyka?

– Em... – Zebrani oficerowie zaczęli przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu notatników.

– Nie na jutro rano? – spytał Kutrzeba.

– Cholera, na teraz – oznajmił Filipowski, odrywając wzrok od swojego smartfona.

Wszyscy zerknęli na Smoleńskiego, oczekując wyjaśnień.

– Na mnie nie patrzcie, to wy tu jesteście cholernymi ekspertami od kucyków.

Minęła minuta, później druga. W końcu rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś podszedł i otworzył, po czym do sali wszedł... Przepraszam – wkuśtykał starszy mężczyzna, ubrany w mundur, którego Polacy-oficerowie II RP nie widzieli od blisko dwudziestu lat. Przybysz z trudem przesuwając lewą nogę, do której uczepiona była Lyra.

Mimo panującego w pomieszczeniu półmroku i wszechobecnego dymu z papierosów, niemal wszyscy Polacy z łatwością rozpoznali przybysza.

– O krucafuks – stwierdził Szylling. – Powinieneś już dawno nie żyć.

– Kucyki znają się na nekromancji? – szepnął Kutrzeba do Filipowskiego. Ten przecząco pokręcił głową.

– Kto to jest? – spytał Jeziorański. Nie doczekawszy odpowiedzi, sponyfikowany folowiec zaczął dźgać rogiem swojego przełożonego. Ten dopiero po chwili odpowiedział:

– To Wrangel. Carski generał, ostatnia nadzieja białych Rosjan w 1920. Martwy od 1928.

– *Generał Wrangel kroczy, o tak, o tak!* – wybełkotała Lyra. – Ale co oni mają z tym krokiem? Zboczeńcy!

– A, to już wiem – odparł Jeziorański. – Ten-ten od spodni, tak? I jak to martwy? Przecież żyje...

– No właśnie – odezwał się wreszcie dawny carski generał. – Wiecie, jak trudno było upozorować własną śmierć? Wiecie, jak długo czekałem, aż raczycie się ruszyć na Moskwę? DWADZIEŚCIA ZAKICHANYCH LAT! Ale wreszcie pokazaliście, że macie jakieś poczucie honoru. To gdzie moja armia?

– I gdzie-e mój monsz? – dodała Lyra wyraźnie zapijaczonym głosem, ale została zignorowana.

– Armia? – spytał Kutrzeba. O co chodzi temu staremu wariatowi?

– Ta, co mi ją Piłsudski obiecał, żeby m zdobył Moskwę! Obiecaliście, a potem podpisaliście pokój z czerwonymi! No, gdzie ona? I gdzie jest Śmigły, powiem mu parę słów za opieszałość...

– Spokojnie, spokojnie – odezwał się Smoleński. – Pańska armia jest już gotowa i czeka na rozkazy.

– Tak? – spytał Wrangel.

– Tak? – dodał Kutrzeba, ze zdziwieniem spoglądając na szefa II Oddziału.

– No tak. Mało tego, jest już ona praktycznie na miejscu! Nasza Samodzielna Dywizja Spadochronowa czeka z ostatecznym szturmem, aż obejmie pan nad nią dowództwo! Prawda, generale Kutrzeba?

– Oczywiście! – Pierwszy po Rydzu z entuzjazmem pokiwał głową. – Zaraz generał Zajac podstawia panu samolot transportowy i zapewni eskortę. Nie żeby była potrzebna, sowievi pewnie nie mają już samolotów...

– A kucyka skąd pan ma? – zainteresował się Filipowski. Jeziorański w międzyczasie podszedł do Lyry. Ta natychmiast przestała maltretować nogę Wrangla i rzuciła mu się na szyję. Jeziorański poczuł wyraźny zapach alkoholu.

– Gdy przyleciałem do Warszawy jakieś trzy-cztery dni temu, próbowałem dostać się do waszego sztabu. Chciałem zapukać, gdy ze środka wybiegł ten wasz Wieniawa, wyraźnie podpity, niosąc na rękach tę tu, też podpita. Ledwo mnie zobaczył, zawołał: „Piotruś, kopę lat! Niebezpiecznie jest chodzić po Warszawie samemu, weź to!” i wcisnął mi do rąk kuca.

– Aha, dobrze, rozumiemy. – W głowie generała Kutrzeby panował mętlik. Skoro Lyra jest tutaj, to jakiego kuca Wieniawa znalazł w Rzymie?

– Przepraszam, panie Wrangler – odezwał się Jeziorański – ale ten pierścioneł na rogu Lyry to mógł już sobie pan darować.

– Ale to nie ja, kucyku – odparł ruski generał.

– Jaki pierścionek? – zainteresował się Rómmel. Faktycznie, na rogu klaczy lśniła złota obrączka z diamentem o wartości przekraczającej możliwości finansowe przeciętnego polskiego gospodarstwa domowego.

– Hm, kucyki noszą takie obrączki tylko do ślubu... – zauważył Filipowski, spoglądając na Wrangla. – Gratuluję?

– Akurat jak ją dostałem, to już ją miała – odparł Rosjanin. – Wieniawę pytajcie.

– Lyra? – Jeziorański potrząsnął lekko swoją towarzyszką. – Lyra, powiedz mi, co się stało?

Lyra popatrzyła na wpół nieprzytomnym wzrokiem na sponyfikowanego folowca. Przez chwilę jej ocalałe z alkoholowego holocaustu szare komórki próbowały połączyć ze sobą wydobywające się z ogiera dźwięki w jakąś logiczną całość. W końcu skapitulowały i popełniły samobójstwo, a ostatnia z nich w akcie desperacji nakazała Lyrze działać.

Więc klacz przystąpiła do akcji. Nim Jeziorański zdołał zareagować, Equestrianka pocałowała go namiętnie, tak prosto w usta, po czym odsunęła się, spojrzała na niego, uśmiechnęła się... i odpłynęła, powracając do krainy alkoholowych snów.

Nastąpiła niezręczna cisza...

– Widziałem całujące się konie. Świat już nigdy nie będzie taki sam – stwierdził Wrangel z niewzruszoną miną. – To co z tym samolotem?

Moskwa, 26 IX 1939, godzina 18.53

Po zniknięciu uciążliwego kucyka i jeszcze bardziej uciążliwego kota ochroniarze Stalina odetchnęli z ulgą. W niecały kwadrans wysprzątał zrobiony przez Pinkie bałagan, wywieźli porzucane wszędzie balony, serpentyny i inne śmieci, po czym mogli spokojnie udawać, że nic się nie stało, a władza radziecka zatryumfowała, jak to miała w zwyczaju.

Stalin i jego najwierniejszy podnóżek, niejaki Mołotow, mieli wszelkie powody do zadowolenia z tego faktu. Już wystarczająco denerwujący był dla nich fakt, że pod Moskwą walczyli polscy spadochroniarze, linia frontu szła na wschód w tempie dużo za dużym, jak na gust Dobrotliwego Ojca Narodu Radzieckiego (w skrócie DONR), a po Gruzji szalał im mech bojowy, kradnący wina z państwowych wytwórni. Teraz, gdy do stolicy miał przybyć gość specjalny, byłoby wysoce niewskazane, by ktokolwiek przeszkadzał im w knuciu Mrocznych Planów (przez duże M i P!).

Nad tajnym lotniskiem rządowym koło Kremla samolot z czarnym krzyżem podszedł do lądowania. Ledwo jego koła dotknęły nawierzchni, radziecka delegacja z towarzyszem Stalinem oraz Mołotowem na czele podeszła do dostawianych właśnie schodów, po których zaczęli schodzić najnowsi goście Kraju Rad. Po krótkiej chwili przed sowieckimi politykami stała już niewielka grupa żołnierzy w czarnych mundurach i opaskach ze swastykami. Jeden z nich wystąpił o krok do przodu. DONR rozłożył ręce w serdecznym geście.

– Witamy na gościnnej ziemi rosyjskiej, towarzysze. Nie wiem, jak wyrazić naszą radość, że udało się wam tu dotrzeć aż z Nadrenii, unikając tych przebrzydłych, polskich imperialistów – powiedział jowialnym tonem.

– Również się cieszymy. Niestety, nasz drogi przyjaciel Ribbentrop nie mógł przylecieć, cierpi na bardzo poważny przypadek zatrucia ołowiem. Kazał jednak przekazać serdeczne życzenia towarzyszowi Mołotowowi, razem ze wzmianką, że będzie długo jeszcze pamiętał negocjacje z sierpnia – odpowiedział gładko po rosyjsku przedstawiciel upadłej III Rzeszy.

– Wciąż mnie pamięta... – szepnął przejęty minister spraw zagranicznych ZSRR, po czym zarumienił się jak dziewczeczka w japońskim filmie animowanym. Atmosfera spotkania nagle nabrała na dziwności.

– Akhem, akhem... – odchrząknął solidnie Stalin, by przerwać ciszę, po czym gestem zaprosił wszystkich do Kremla. – Porozmawiajmy w środku, w lepszych warunkach niż... te – w oddali zaterkotał karabin. Albo Polacy mieli głośniejszą broń niż Sowiet, albo jakiś czerwonoarmista się bawił, albo znowu polowano na kota, kucyka lub inny rodzaj gadającego zwierzaka, ostatnio sporo ich się rozpleniło na terenie stolicy Kraju Rad. – A, Mołotow? Drogi przyjacielu, prowadź. Byłoby niegrzeczne mieć cię z tyłu... za naszymi plecami. A pan, panie... – zawiesił głos, gdy zdał sobie sprawę, że nie zna tożsamości przywódcy niemieckiej delegacji.

– Heydrich. Reichfuhrer SS Heydrich. Objąłem to stanowisko od razu gdy Heinrich Himmler z ogromnym żalem i bólem w sercu zajął miejsce naszego zaginionego wodza, którego los jest i będzie na wieki nieustalony.

– Tak w sumie nasz wywiad ustalił, że...

– Na wieki wieków, sieg heil – powtórzył z naciskiem Heydrich.

– Ałć! – jęknął Mołotow, gdy na ostatnie słowa swojego przywódcy wszyscy Niemcy w delegacji odruchowo unieśli lewe ręce w nazistowskim pozdrowieniu, uderzając najwierniejszy podnóżek Stalina zaledwie trzy razy.

– Dobrze, dobrze, zrozumiałem. Możecie przestać bić Mołotowa – zauważył cierpko Stalin. – To mój przywilej. A teraz, skoro formalności mamy za sobą, to wróćmy do naszej wycieczki. – Ruszyli dalej w stronę Kremla, przekraczając wreszcie jego bramy. Skromny korytarzyk, którym szli, był pełen bogato zdobionych rzeźb Stalina, Lenina, Stalina, Marksa, Stalina i Stalina, pod stopami mieli najprzedniejsze dywany, a kilka skąpo odzianych pań

siedziało przy pomnikach Stalina i patrzyło na nie maślanym wzrokiem.

– Oj, psułbym rasę... – westchnął smutno Heydrich, oglądając te wszystkie cuda. W głębi duszy czuł co prawda, że u nich w Rzeszy, gdyby rządili tam tyle, ile w Rosji komuniści, wszystko byłoby o wiele lepsze, bogatsze i z dodatkiem porządnego, bawarskiego piwa, ale od zajęcia Niemiec przez Polskę nie mógł wybrzydzać. Nie marzył jednak za długo, bo dość szybko doszli do kolejnych drzwi z dumnie umieszczonym nad nimi napisem „Superwinda”. – Co jest takiego super w tej windzie? – zainteresował się uprzejmie.

– Po pierwsze, jest komunistyczna. Po drugie, jest ekologiczna! Ma moc pięćdziesięciu więźniów politycznych – odpowiedział z dumą towarzysz Mołotow, zapraszając ich gestem do środka. Gdy weszli, kliknął jeden, jedyny przycisk znajdujący się na panelu kontrolnym i winda powoli ruszyła w dół.

– Żadnych szarpnięć, płynna jazda, całkiem niezłe tempo... – Stalin poczuł się w obowiązku zachwalać cud radzieckiej myśli technologicznej przed swoimi gośćmi. Faktycznie, jazda była całkiem komfortowa. Wreszcie się zatrzymali. Zdawało się, że coś krzyknęło pod podłogą windy, ale nie trwało to za długo. – I bardzo łagodny koniec jazdy. W windach obmierzłych kapitalistów na koniec zawsze tak szarpie, że idzie się wywrócić, a tu? – Uśmiechnął się dobrotliwie pod wąsem. – Więźniowie polityczni są, jak widać, bardzo przydatni. I wielofunkcyjni.

– We wspaniałej utopii, jaką zamierzaliśmy stworzyć, wszędzie byłyby takie cuda – westchnął smutno Heydrich. – I gdyby nie ci wścibscy Polacy...

– Jeszcze im damy popalić. Nasze potężne armie, szykują się do potężnego kontrataku, który odrzuci przeciwnika jednym, potężnym uderzeniem aż pod Łabę. Faza pierwsza wojny, czyli, wciągnięcie go w pułapkę, w okolicach Moskwy, Kijowa, Leningradu, i innych naszych ważnych miast, wyszła nam doskonale, a wróg wciąż się nie zorientował że tylko, i wyłącznie nasza chytra strategia, pozwoliła mu tak głęboko wkroczyć na nasze ziemie. A gdy zakończymy kontratak, to potrzebujemy bynajmniej miesiąca by dojść do Odry – uśmiechnął się dumnie Mołotow, zapraszając ich gestem do wyjścia z windy. Wszyscy na czele ze Stalinem wyszli ze stoickim spokojem i tylko Heydrich zatrzymał się przy ministrze spraw zagranicznych ZSRR i zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Może kiepsko znam rosyjski, ale wydaje mi się, że użyłeś „bynajmniej” zamiast „przynajmniej” i wstawiałeś przecinki w niewłaściwe miejsca. To gorzej niż zbrodnia. To... błąd. I to poważny – oświadczył spokojnie tonem, który zapowiadał śmierć i ból dla Mołotowa, jeśli ten jeszcze raz odważy się pogwałcić zasady językowe. Zaraz potem, jak gdyby nigdy nic, reprezentant III Rzeszy ruszył za resztą grupy. – Musicie być bardzo dumni z tego projektu.

– Trudno by było nie być. Nasi najlepsi agenci od dawna starają się badać ten zadziwiający postęp technologiczny polskich faszystów... – Stalin zamilkł w pół słowa, zastanawiając się, jakim słowem określać Polaków w obecności nowych sojuszników, by pasowało każdemu. – ... polskich masonów, Żydów i cyklistów. Posiadamy nawet agenta na szczytach ich tajnej grupy

trzymającej władzę... i wiedza z tych wszystkich źródeł zrodziła TO! – oznajmił tryumfalnym, donośnym tonem, gdy korytarz, którym szli (niestety, tym razem bez skąpo ubranych komunistek) nagle się skończył i zobaczyli TO.

– Imponujące. Czy to też robili więźniowie polityczni? – zagaił uprzejmie Heydrich, z błyskiem w oku podziwiając zaprezentowane mu чудо. Stalin zazezował w jego stronę.

– Nie. Robili to doskonale opłacani eksperci ze swoich dziedzin, intelektualna elita kraju Rad, wyraziwszy uprzednio zgodę. Ależ oczywiście, że robili to więźniowie polityczni! Nawet jeśli nie zaczynali jako tacy, to na pewno tak kończyli. Wiadomo, nie można było pozwolić, by któryś chlapnął jęzorem, nad czym pracował. – Uśmiechnął się złowieszczo. Heydrich też. Mołotow też, ale jemu nie do końca wychodziło.

– Więc nareszcie... po tak długim czasie... będziemy mogli zgnieść Polskę raz na zawsze! Muahahhahahha! – Zły i mroczny śmiech Heydricha odbił się echem po korytarzach Kremla...